

Kronika

tygodniowa

Jeszcze nie przebrzmiały karnawalskie dźwięki, a tu mamy już i połowę postu, zatem nie na tarty myśleć trzeba o zbliżających się do nas wielkim krokiem Świętym Wielkanocnym, które jak już w poprzedniej kronice zaznaczyliśmy, zapowiadają się niezbyt wesoło. Oczywiście nie dla wszystkich, są bowiem wybrań, a jest ich nawet bardzo wielu, którym zupełnie wszystko jedno, czy kilogram szynki kosztować będzie pięćset marek, czy pięć tysięcy, oni ją bowiem tylko zjedzą, a kto inny musi za nią zapłacić. Czy kupiec, czy przemysłowiec lub rękodzielnik, każdy z nich ceny swych wyrobów lub towarów normuje wedle tego, ile sam płaci za to wszystko, czego potrzebuje, zbytnio go zatem głowa nie boli, skąd wziąć pieniądze na pokrycie wzrastających z dnia na dzień wydatków.

W daleko gorszym natomiast położeniu jest na przykład urzędnik lub każdy inny osobnik żyjący z pewnych ustalonych dochodów, które w żaden sposób nie chcą tak podskakiwać, jak ceny wszystkiego tego, bez czego obejść się trudno.

To też ci proletaryusze mają coraz smutniejsze miny, gdy natomiast tamci bardzo różowo zapatrują się na życie i bawią się całym sercem, choć teraz wielki post, a nie karnawał.

Wojna zmieniła do gruntu nasze stosunki. Dawniej w czasie wielkopostnym stanowiły rozrywkę dla publiczności mającej dość czasu i pieniędzy, co najwyżej koncerty, dziś, choć wielki post dobiegł do połowy, odbywają się w dalszym ciągu zabawy z tańcami, śledzi idzie o lepsze z paczkami, a latwiej wyobrazić sobie „tańczącego śledzia“ bo to przecież istota żyjąca, niż „tańczące paczki“. Dzień św. Józefa, stanowiący w każdym poście wyjątek, przeznaczony na wspomnienie karnawału, przypadł tego roku na niedzielę, w sobotę już zaczęto się bawić, bawiono się przez całą niedzielę, a szewcy nie zapomnieli i o poniedziałku.

Z okazji, że mamy już wiosnę za pasem i że lody na naszych rzekach już ruszyły, urządziła „Wisła“ w sobotę, w przeddzień św. Józefa, zabawę tańczącą, nazwaną „wiosenną“, kto zatem spodziewał się jeszcze mrozów i śniegów, może być już zupełnie spokojny i fatro, jeśli je posiada, sprzedać, a za uzyskane w ten sposób pieniądze zacząć się przygotowywać do urządzania święconego. Zapowiedzianych jest także kilka rautów, które obecnie zaczynają coraz bardziej wchodzić w modę, przynosząc instytucjom dobroczynnym bardzo piękne dochody, paskarze bowiem i lichwiarze zaszczycają je bardzo chętnie swą obecnością, aby bodaj w ten sposób zaznaczyć swą obywatelską działalność i okazać, że serca ich są czule na niedolę bliźniego. Bo i cóż to za wydatek dla szewca lub krawca, jeśli zapłaci wstępu choćby nawet i kilka tysięcy marek, gdy następny dzień przyniesie mu ich kilkadziesiąt tysięcy, bo przecież nie zapomni przy kalkulowaniu cen doliczyć nieco na konto tej ofiary, jaką złożył na odtarciu dobroczynności publicznej. Klient, potrzebujący jego usług, tak czy owak zapłaci, bez trawników i ubrania można się bowiem obecnie pokazywać jedynie na sali balowej, ale nie na ulicy. Ponieważ zaś trudno dokładnie obliczyć, ile się właściwie wydało *ex re* takiego balu lub rautu, przyjmuje się zwykle pewną okraglejszą sumkę i ma się z tego taką korzyść, że klient wróca to z nawiązką, a przytem ma się prawo do żądania uznania ze strony społeczeństwa, że się jest obywatелеm, spieszącym chętnie na wezwanie, aby nieść pomoc potrzebującym. Dla osób ludzkich, robi się wiele, jeśli jednak idzie o czyny miłosierdzia, spełnione w ukryciu, tak aby świat o nich nie wiedział, długo trzeba pukać do serca i kieszeni takiego pana, który znalazł zawsze jakąś wymówkę, a jeśli łaskawie coś „kapnie“, to zazwyczaj tylko, aby się pozbyć, jak sam powiada, natrętnych żebraków. Niepokojących go dniem i nocą.

Na balach i redutach, urządzanych na cele dobroczynne jawiło się w karnawale mnóstwo ludzi o czułym sercu, opłaty za wstępy szły w setki tysięcy i miliony, dziesiątę razy tyle lub więcej pochłonęły wydatki, połączone nieodzownie z taką wyprawą, bo Kraków słynie z miłosierdzia i innym miastem może być pod tym względem stawiany za wzór. Ale też zapytać się warto czy na przykład równie hojnie posypią się datki na rzecz Szpitala Bonifratrów, który w tym czasie właśnie odwołuje się do ofiarności publicznej, aby móc naprawić szkody, jakie mu wojna wyrządziła. W roku 1914. oddano wojskowości lokal spi-

talny urządzony zupełnie postępowo, po siedmiu latach odebrano ruinę, na której przywrócenie do pierwotnego stanu potrzeba dziś setek milionów. Rząd polski przyznał wprawdzie Bonifratrom trzy miliony marek na pokrycie kosztów nieodzownej restauracji, jest to jednak kropla w morzu, a u Austrii, której gospodarza do tego stanu doprowadziła zakład dobroczynny trudno się domagać jakiegos przyczynienia się, gdyż ona robi bokami i raczej wzięłaby, niż dała, choć i tam są ludzie, mający dość pieniędzy na wyraneczenie, skoro jak czytamy w dziennikach, na jednej z redut wiedeńskich całusa pewnej dity otrzymała za milion trzysta tysięcy koron w drodze publicznej licytacji szczęśliwie, oczywiście nie pracujący amyslowo inteligent, lecz handlarz bydła, zatem łatota aprzywilejowana i w obecnych stosunkach robiąc znakomite interesy, mogąc sobie zatem na coś podobnego pozwolić. Ciekawi jesteśmy, jak też nasze krakowskie społeczeństwo odnieśli się do przyjęcia z pomocą Bonifratrom, którzy na rzecz odrestaurowania swego szpitala balu nie urządzają, odwołują się jedynie do „znanej dobroczynności Krakowian“. Ten i ów ale potrafi z pewnością pieniędzy na cel tak szlachetny, lecz tych ofiurodawców napewno nie będzie zbyt wielu, a znajdują się nawet i tacy, którzy wyrażają swe niezadowolenie, iż niepokoi się ich podobnymi drobiazgami, gdy oni mają głowy zajęte czemś daleko ważniejszym, t. j. robieniem dobrych interesów, które pozwalałyby im na wesołą zabawę.

Rozbawienie karnawalne u jednych, kłopoty o zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb codziennego życia u drugich są przyczyną, że politykę i sprawami z nią związek mającemi mało kto się zajmuje, a choć nawet nierzadko spotka się ktoś z czemś w pismach codziennych, co mu się nie podoba, bardzo prędko zapomina o tem. Przesilenie gabinetowe, częstokroć niebezpieczne, podobnie jak zabkowanie u małych dzieci przeszliśmy stosunkowo dość szczęśliwie, gabinet Ponińskiego utrzymał się w składzie prawie niezmiennym, a sprawa Wileńszczyzny jakoś niebardzo obchodzi nasz ogół, zbyt bowiem mało uwagi poświęcają jej nawet pisma polityczne, zdaje się godzące na to, że powinno tak być, jak sobie życzy Lloyd George i jego przyjaciele, a na wolę interesowanej ludności oglądać się zbytnio nie należy. Wileńszczyzna powiedziała swoje, a wyższa racja stanu mówi swoje, ponieważ ta druga jest dla świata bardziej miarodajna, trzeba się będzie z nią pogodzić, a piękne teorie samostanowienia ludu o swym losie pozostaną dalej na papierze, który jest bardzo cierpliwy. Przygotowujemy się także do wzięcia udziału w konferencji genueńskiej. W tym celu odbył się zjazd dyplomatów czeskich, polskich, rumuńskich i jugosłowiańskich w Belgradzie gdzie, jak nas zapewniają doszło do zupełnego porozumienia i oznaczenia wytycznych, któremi kierować się mają przedstawiciele tych państw w Genui. Czy my jednak na tem dobrze wyjdziemy, to dopiero przyszłość pokaże, niejednokrotnie wspominaliśmy już, że wszelkie spółki obliczone są zwykle tylko na to, aby jeden ze współników zrobił interes kosztem drugiego. A właśnie przyjaźń z Czechami, tak teraz modna w niektórych kołach warszawskich, przedstawia się jakoś bardzo niewyraźnie, a bracia Czesi, choć nas oficjalnie kokietują, gdyż im tego potrzeba dla swych celów, w praktyce nie odnoszą się tak sympatycznie do polskiego społeczeństwa, dowodów zaś na to nie trzeba szukać daleko, wystarczy przejść przez most na Olzy. Z zawieraniem przyjaźni powinno się być bardzo ostrożnym, pamiętając stare przysłowie: „Ochroń mnie Panie Boże od przyjaźni, bo z nieprzyjaciółmi dam sobie jakoś radę“.

Konferencja genueńska mająca się zająć przede wszystkim sprawą odbudowy Europy, w miarę jak się zbliża termin jej otwarcia t. j. dzień 10 kwietnia, przedstawia się w coraz niewyrażalszym świetle. Ameryka powiedziała już swoje, t. j., że nie weźmie w niej udziału, Francja, choć Poincaré doszedł z Lloydem Georgem w Bullogne do porozumienia, w praktyce okazuje coś zupełnie przeciwnego, skłócić się zatem może na tem, że w Genui znajdzie się tylko Lloyd George i jego przyjaciele, czyli że zamierzenie bardzo piękne w zasadzie, nie osiągnie właściwie pożądanego celu, nawet gdyby zjazd genueński rzeczywiście zaszczycił swą obecnością sam pan Lenin, mający podobno ochotę przewietrzyć się trochę i jak zapewniają, nakiwać przy tej sposobności Anglikom, że z Rosji sowieckiej żartować sobie nie wolno.

Sam termin zwołania konferencji, która przerywana być musi Świętami Wielkanocnymi, jest dość niefortunnie wybrany, choć zapewniają, że Lloyd George ma zamiar urządzić wielkie święcone, oczywiście na koszt państw odbudować się mających, i spodziewa się doprowadzić na niem do ogólnego porozumienia, t. j. do ugody na wszystkich na to co on postanowi.

Konferencja waszyngtońska powiedziała swoje, a in-

teresowane mocarstwa robią swoje, niezawodnie taki sam wynik będzie i konferencji genueńskiej, czyli, że szkoda sobie nią wogóle zawracać głowę, gdyż z tej maki nie będzie chleba, a gdyby był, to z pewnością z zakałcem.

Najbardziej pocieszającą jest wiadomość, powtarzana obecnie coraz częściej, że podobno Lloyd George ma się zamiar w najbliższym już czasie przenieść w dobrze zaopatrzony stan spoczynku, ponieważ zaś on dotąd całą politykę kręcił, niczem szewo kopytem, możemy tywić nadzieję, że po jego ustąpieniu wróca stosunki nareszcie na normalne tory i przestaną raz opierać nas gilotyna od lat tylu zmora, że wola nasza własna nie nie znaczy, a tańczyć musimy, jak nam kto inny agra. Ponieważ zaś owym głównym muzykantem, który kazał tańczyć innym, był właśnie Lloyd George, poegnamy go bez żala, życząc szczęścia w dalszej wędrówce życiowej. Dla Anglii zdsiał wiele, to mu każdy przyznać musi, reszcie świata zalał jednak dość gorącego sadła za skórę, a jego dyktatura nie była wcale dniejszą od Lenińskiej. W każdym razie konferencję genueńską ma jeszcze on otworzyć, czy ją jednak zamknie, to się pokaże dopiero w dalszym ciągu. Obrady genueńskie rozpoczną się posiedzeniami plenarnymi, potem nastąpią sesje rzeczoznawców, co potrwa co najmniej z miesiąc, zakończenia w najlepszym wypadku spodziewać się można gdzieś dopiero w maju i wtedy będzie się można dowiedzieć, jakie też obmyślano dla nas środki ratunku. Cieszymy się zatem, a gdy kto zapyta, kiedy już nareszcie nastaną dla nas lepsze czasy, odpowiadamy śmiało: „w maju!“

Z chwilą nastania wiosny zaczynają do nas powracać i jaskółki wojenne. Pisma codzienne od czasu do czasu przynoszą wiadomości o przygotowywaniu się sowietów do akcji wojennej, która oczywiście musiałaby być skierowaną przedewszystkiem przeciw Polsce i Rumunii. Opowiadają także o rzekomych ustępach generała Wrangla rozpoczęcia kroków zaczepnych przeciw Rosji i to bardzo seryo, skoro na czelę tworzącej się armii ma stanąć nieboszczyk wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który zdecydował się już na przerwanie swego wiecznego spoczynku i jest podobno w drodze do Odessy. Równocześnie ma na Ukrainie prowadzić w dalszym ciągu przerwany chwilowo akcję Petiura, co wszystko razem wzięwszy, zapowiada Europie nowy zamęt i chaos i każe się spodziewać, że wojna światowa przejdzie w stadium i zmienić się gotowa w trzydziestoletnią, że zatem może się sprawdzić przepowiednia jakiegos proroka z r. 1914., który utrzymywał, iż końca tej wojny doczeka na całym świecie tylko czterech ludzi z tych, którzy jej początek oglądali.

Jedyna nadzieja w tem, że owe wiadomości o przygotowaniu wojennych są oparte na tak realnych podstawach, jak owa sensacyjna depesza jednego z pism krakowskich, powtórzona przez całą prasę polską, o ujęciu niebezpiecznego bandyty, Stomczyńskiego, i osadzenia go w częstochowskim więzieniu. Redakcja *Nowości Ilustrowanych*, pragnąc otrzymać podobną tego osobnika, o którym tyle mówiono i pisano, zwróciła się do Komendy Policji Państwowej w Częstochowie, skąd po datą 9 marca b. r. nadesłano jej urzędowe, bardzo lakoniczne zawiadomienie następującej treści: „W odpowiedzi na pismo z dnia 2 marca r. b. komunikuje się, że herzt bandytów Jakób Stomczyński ujętym nie został“.

Wobec tego zaczynamy nie wierzyć także wiadomości podanej przez ten sam dziennik, a powtórzonej przez nas w poprzednim numerze, o owym straszliwym wężu, amatorze ludzkiego mięsa i ciocięcy, który takim podobno strachem napawa mieszkańców Afryki, dokąd przybył na gościnne występy. Czy pojawienie się jego stoł w jakim związku ze spodziewaną dymisją Lloyd'a George'a i czy będzie mieć wpływ jakiś na odroczenie konferencji genueńskiej, tego dotąd sprawdzić nie zdołaliśmy. To tylko jest pewne, że redakcja owego dziennika nie wysłała na miejsce swego specjalnego sprawozdawcę, celem zbadania sprawy, a to z obawy, aby poterać ciętą nie wyrządził ma jakowejś krzywdy.

Nie zgadzamy się również z notatką tegoż pisma, jakoby w Krakowie był tylko jeden biały wróbel, widocznie członek Kuchniego Kasyna, skoro tam najchętniej na galei przesładuje i trzyma się zdala od reszty szarej gawiedzi. Nie uważamy go za jakąś osobliwość, zasługującą na podanie do wiadomości *ubi et ubi*, sami bowiem na własne oczy w ubiegłym tygodniu widzieliśmy aż trzech zupełnie siwych Wróblów, nie śladających jednak na galejach, lecz chętniej na stołku lub ławce, jako demokraci bowiem z przekonaniem stronili od kanapy.

Karmienie czytelników podobnymi sensacyami świadczy w każdym razie, że albo w polityce panuje zupełny zastój, albo, że połączenie telefoniczne z Wiedniem jest znowu zerwane.